

semiotyki, lingwistyki, geografii, w tym nawet klimatologii. Zatem historiografia modernistyczna, silnie podbarwiona scjentyzmem, stała się na gruncie polskim faktem. Polscy moderniści zaczęli się liczyć w debacie europejskiej i liczą się do dzisiaj. Natomiast polscy tradycjoniści („kolekcjonerzy” faktów), ani wówczas ani tym bardziej dzisiaj, nie podjęli dialogu z czołowymi ośrodkami historiografii europejskiej. Zresztą niewiele jej mieli do zaoferowania.

W latach 80. istotne, wręcz rewolucyjne, wyzwanie przyniósł postmodernizm. W obszarze historii zakwestionował pozytywistyczne rozumienie źródła i jego krytykę, proces rekonstrukcji dziejów czy wreszcie pojęcie prawdy historycznej jako celu badań historiografii. Jednak ani w 80. ani w 90. latach polscy historycy zasadniczo go nie zauważyli, podobnie jak i postmodernistycznej krytyki, inaczej niż przedstawiciele innych nauk społecznych i humanistycznych. Z pewnością trudne lata 80. nie sprzyjały prowadzeniu wytężonych studiów teoretycznych i metodologicznych. Poza tym w Polsce brakowało klimatu do tego typu debat, a i brakowało stosownej tradycji. Jedynie w istocie nieliczni historycy, zawodowo uprawiający historię historiografii oraz metodologię, zaczęli się w tej materii wypowiadać. Lecz ich sądy, skądinąd cenne, a poznawczo atrakcyjne nie były w stanie przebić się przez mur nieufności do nowinek oraz przez tradycyjne nawyki. Przeto głosy nielicznych metodologicznych nowatorów były głównie adresowane do równie nielicznych odbiorców.

Jednak w sumie lata 90. i początek nowego stulecia należy widzieć jako czas przyspieszenia w polskiej historiografii i unowocześniania warsztatu badawczego. Dała znać o swoim istnieniu nowa generacja historyków uformowanych na najnowszych lekturach i nowoczesnych studiach, otwarta na świat historiograficzny i jego nowinki. Jej przedstawiciele stawiają nowe pytanie i nie zadowolają się łatwymi czy prostymi odpowiedziami. Dorobek nowej generacji historyków jest już niemały. I to jest bardzo krzepiące i budujące. Krzepiące także z punktu widzenia refleksji metodologicznej polskiej historiografii zajmującej się wiekiem XIX.

Dyskusja po referacie Andrzeja Chwalby:
Metodologiczne aspekty badań nad historią Polski w XIX wieku

Adam Strzałkowski:

Bardzo interesujące było usłyszeć te refleksje nad metodologią pracy historyka. Zwłaszcza dla przedstawicieli różnych kierunków nauk zgromadzonych w naszej Komisji móc porównać występujące tu problemy historyka z problemami metodologicznymi w innych dziedzinach.

Zagadnienia metody pracy w nauce obejmują z jednej strony problemy filozoficzno-socjologiczne tworzenia syntez, dochodzenia do prawdy, ale z drugiej strony również problemy warsztatowe, metodyczne. W jakimś stopniu tymi ostatnimi problemami zajmują się w historii nauki pomocnicze historii. Wydawałoby się, że ich przedstawiciele byłiby bliscy również ogólnie pojmowanej metodologii. Nie wynikało to z relacji Pana Profesora. Czy rzeczywiście wśród metodologów historii nie ma przedstawicieli tych nauk?

Andrzej Chwalba:

W metodologii korzystamy z doświadczeń innych nauk, na przykład nauk społecznych. Ja korzystam dużo z antropologii, a również filozofii, bo historyk porusza się na pograniczu różnych dyscyplin i musi mieć narzędzia do badania tego pogranicza. Natomiast postmodernizm to odrzuca. Nauki pomocnicze historii są bardzo silnie związane z historią średniowiecza i są doskonałym przygotowaniem warsztatowym dla mediewistów. Nie są to jednak problemy metodologiczne, lecz raczej praktyczne: jak odczytywać informacje z zakresu paleografii, genealogii, heraldyki. Takich umiejętności dostarczają. Dlatego odłączono od pewnego czasu nauki pomocnicze od ogólnego kursu, traktując je jako pomoc dla mediewistów. Specjalista od każdej epoki musi sobie wypracować swój warsztat. Inny będzie warsztat historyka antyku, inny historyka wieku XIX. Dla mediewisty sukcesem jest odnalezienie nieznanego źródła. Historyk współczesności ma problem, jak wyselekcjonować źródło spośród ton materiałów archiwalnych.

Adam Strzałkowski:

Wspomniał Pan Profesor w swym referacie kilkakrotnie postmodernistów, traktując ich jako przekleństwo historyków. Ale nie tylko odnosi się to do historii. Fizycy nie traktują postmodernistów poważnie, uważając ich trochę za wariatów. Ale też uważają ich za wcale poważne zagrożenie cywilizacyjne. Profesor Hryniewicz poświęcił dwa czy trzy posiedzenia Komisji Zagrożeń Cywilizacyjnych PAU problemom postmodernizmu. Oczywiście nie to jest groźne, że postmoderniści mówią: „czemu wy twierdzicie, że $2+2 = 4$, przecież równie dobrze można mówić, że jest 5”. Oczywiście wariat może wygłaszać takie twierdzenie i to byłaby jego sprawa, gdyby nie to, że postmoderniści uważają, że należy tępić tych, co twierdzą, że na pewno $2+2 = 4$. I w tym leży zagrożenie cywilizacyjne postmodernizmu.

Julian Dybiec:

Wywołał Pan tu temat postmodernizmu. Wydaje mi się, że rzeczywiście jest to groźne zjawisko w skali kulturowej. I jest to zjawisko groźne nie tylko dla samej historii, ale zwłaszcza w dziedzinie wychowania. Dla historii nie jest może tak ważne, czy będzie tak czy inaczej przedstawiana. Ma to pewnie znaczenie, ale nie w takim stopniu jak w przypadku nadawania kształtu wartości dla młodego pokolenia. Gdybyśmy chcieli wychowywać młode pokolenie w duchu postmodernizmu, to oznaczyłoby to wychowanie zupełnie bez żadnych wartości, wszystkie wartości się tu neguje. Rozmawiałem kiedyś na ten temat z jednym z filozofów. Filozofowie – ale nie tacy, którzy tylko chcą zdobyć poklask – bardzo martwią się zjawiskiem postmodernizmu i próbują kontratakować, ale postmodernizm jest obecnie zjawiskiem bardzo modnym i niełatwo jest tu dyskutować. Wydaje mi się jednak, że należy podchodzić do tego spokojnie. Kiedyś, gdy pojawiło się oświecenie, też zaczęto od podważania wartości, a później pozytywizm zakwestionował właściwie wszystko. A teraz takim modnym kierunkiem jest postmodernizm. Sądzę, że ludzkość to przeżyje i ostaną się wartości.

Postmodernizm odczytywany jest też w kategoriach ekonomicznych. Jeden z socjologów amerykańskich twierdzi, że postmodernizm to nie tylko sfera pewnych poglądów, ale też pewna koncepcja ekonomiczna, że usługi i dziedziny, które opierają się na rezultatach naukowych, są teraz najważniejsze i że to wniosła epoka postmodernizmu.

Czytałem książkę z zakresu pedagogiki jednego uczonego, który pracuje w Uniwersytecie w Zielonej Górze. Stworzył on własny język, który jest tylko jego językiem, obejmujący dziesiątki nowych terminów, odrzucając cały język pedagogiki. Też patrzyłbym na to spokojnie. Był przecież taki Trentowski, polski filozof działający przez pewien czas w Niemczech, który stworzył specyficzny język filozoficzny. Gdy go poproszono, aby opracował słownictwo filozoficzne do wileńskiego wydawnictwa słownikowego w latach 60. XIX w., to wypełnił ten słownik w większej części tymi stworzonymi przez siebie terminami; nikt nie mógł tego zrozumieć, ale to przeminęło i posługujemy się tradycyjnym językiem.

Wspomniał Pan na początku referatu, że historii zarzuca się rolę użyteczno-usługową, podczas gdy takim naukom, jak matematyka czy fizyka – nie. Wydaje mi się, że wszystkie nauki służą, tylko w różny sposób. Od historii zawsze wymagano, by się wysługiwała. To wysługiwanie może być raz pojęte jako wynik presji władzy, ale też jako rezultat presji społeczeństwa, narodu, który chce poprawić swój wizerunek. Brak porozumienia między narodami wynika przy tym

z pewnych psychologicznych i kulturowych różnic. Japończyk z Polakiem porozumieją się w pewnych kwestiach łatwiej niż Polak z Rosjaninem. My uważaliśmy się za tego „Chrystusa narodów”, za powołanych do tego, by bronić Europy przed Wschodem, a z kolei Wschód, np. braci Moskali, przed germanizmem. Ale Fichte wyłożył swój pogląd na mesjanizm niemiecki, uważając, że Niemcy są tym „Mesjaszem narodów”, oni przecież stworzyli kulturę. Z Rosjanami znowu nie możemy się porozumieć, bo my i oni uważają, że byli „przedmurzem”. Bardzo piękny jest artykuł Walickiego, znawcy kultury i filozofii rosyjskiej, w którym pokazuje, jak przebiegały te sprawy. My uważaliśmy się za obrońcę Zachodu przed Wschodem, a Rosjanie od Karamzina pokazywali, ile to oni ponieśli klęsk od Tatarów i tylko dzięki nim Zachód mógł przetrwać.

Mimo tego jednak, że jest taka presja społeczna, oczekująca na określonej wersji historii, to jednak syntezy dziejów Polski od Lelewela, Moraczewskiego, Szujskiego i Bobrzyńskiego są na ogół do przyjęcia przez inne narody. Te presje społeczne, narodowe widać silniej u jednych autorów niż u drugich – u Szujskiego silniej niż u Bobrzyńskiego – ale pewne z tych syntez były tłumaczone i dobrze przyjmowane przez Niemców czy przez Rosjan.

Wspomniano tu o rozmowach z młodymi ludźmi, jak oni odbierają historię i jak należy pisać, aby sprostać tym wymaganiom. To jest pewnie bardzo cenne, ale należałoby jednak tak pisać historię i tworzyć syntezy, aby były bardziej uniwersalne, odbierane przez różne pokolenia. Kiedyś taką historią dla młodego pokolenia była historia opowiedziana przystępnie przez Lelewela dla jego synowców, natomiast syntezą dla starszego pokolenia była historia Wróblewskiego, Koronowicza. Legitymowała tę klasę, którą Rosja zwalczała, chociażby na Kresach, to było najchętniej czytane przez szlachtę.

Na koniec jeszcze kwestia języka. Pojęcie renesansu w nauce pojawiło się dopiero z książką Zygmunta Łempickiego *Renesans. Oświecenie. Romantyzm*. Przedtem w różnych dziełach i artykułach używano pojęć „odrodzenie nauk i sztuk”, „odrodzenie dobrego smaku”. Termin „renesans” pojawił się zatem u nas bardzo późno, a jeszcze później „barok”. Stosowanie pojęcia jest jednak czymś zupełnie innym od określonego samopoczucia. Ludzie odrodzenia nie wiedzieli, że są ludźmi renesansu, ale wiedzieli, że są zupełnie nowym, różniącym się od poprzednich pokoleń. Coś podobnego jest – wydaje mi się – z „narodem”. Znowu to nie jest tylko kategoria wymyślona przez historyków, ale pojawienie się tego pojęcia było rezultatem rozwijającej się świadomości narodowej, a potem dopiero historycy wprowadzili to jako pewną kategorię.

Jerzy Michalewicz:

Chciałem wyrazić tu wdzięczność naszemu prelegentowi. Bardzo nam brakuje takiej refleksji nad własną pracą. Nie dotyczy to tylko historyków, ale osób pracujących w każdej dziedzinie.

Ujawniło się przy tym, że historia jest bardzo trudną dziedziną. Podkreślam to na różnych seminariach, co szokuje studentów, bo im się wydaje, że historycy są tylko autorami kolejnego opowiadania.

Mówiłeś, że w zakresie metodologii historia ma niewielki dorobek. Ale w dziedzinie nauk społecznych wśród historyków mamy najwięcej refleksji nad własną pracą. Gdy weźmiemy choćby liczbę stron książek Topolskiego, to stwierdzamy, że socjologia nie dorobiła się jeszcze tego i dopiero w ostatnich latach pojawiają się większe opracowania. Zło rozpoczyna się od studiów, gdzie metodologia praktycznie nie istnieje. Potem to ciąży na dalszej pracy. Demonizowanie metodologii pochodzi stąd, że historia Polski wywodzi się z seminariów niemieckich podbudowanych silnie filozofią. Tylko polska historia rozróżnia dwa pojęcia: metodologia i metodyka, na zachodzie takie rozróżnienie nie jest znane. My bardzo subtelnie odróżniamy sposoby działania, reprezentowane przez nauki pomocnicze historii, co jest dzisiaj historycznym zawężającym określeniem, od refleksji metodologicznej, która mówi o pożytkach uprawiania tej dziedziny.

Praca historyka jest dwuwarstwowa. Jest taka pierwsza warstwa podstawowa, którą staramy się wdrożyć w czasie studiów i którą 99% historyków uprawia, a którą nazwałbyś rekonstrukcją historii i tu wystarczają nauki warsztatowe, metodyczne. Natomiast jest też druga warstwa działań i pracy historyka, która zmierza do historiozofii, do wytłumaczenia, która jest treścią ocen tego, co się działo i bez tego historyk nie osiągnie swego dorobku. Historyk zatem, jeżeli jest dobrym historykiem, to jest zarazem metodologiem – powinien być metodologiem. Może wejść wtedy na wyższe piętro dociekań, które muszą bazować oczywiście na rekonstrukcji, będącej – wydawałoby się – rzeczą stosunkowo prostą. Ale mamy do opracowania tony materiałów. W historii Polski XIX w. tylko ułamek tych źródeł jest wykorzystany. Gdy ktoś chce się zapoznać z drukami odnoszącymi się do rozwoju życia społecznego w Galicji, w Austro-Węgrzech XIX w., to bez noża do rozcinania papieru się nie obejdzie – to są w dużej mierze rzeczy nie tknięte. Dzisiaj mamy dopiero właściwy dystans do XIX w. i dlatego ta historiografia teraz się dopiero rozwija.

Historia jest naprawdę nauką trudną, wieloznaczną, wymagającą ogromnej inteligencji i to zarówno od twórców, jak i odbiorców. Trudność polega tu często na braku kontaktu między historykiem i odbiorcą wyników jego pracy.

Zbigniew Gajda:

W naukach przyrodniczych, w fizyce czy biologii, fakty pozostają niezmiennie, ale interpretacja tych faktów się zmienia. Przecież astronomia nie zaczyna się od Kopernika, bo istniała już w czasach starożytnych, zmieniła się natomiast interpretacja pewnych faktów.

W dydaktyce występuje problem zainteresowania studentów. Profesor Szumowski napisał *Historię medycyny filozoficznie ujętą* – żeby pozyskać zainteresowanie studentów powinien napisać *Historię medycyny seksuologicznie ujętą*. Faktem jest natomiast, że wskazanie w historii medycyny na istnienie we współczesnej medycynie reliktywów medycyny dawnej zawsze wzbudza zainteresowanie studentów. Pokazywanie, że pewne myśli sformułowane już przez Hipokratesa czy Paracelsusa są aktualne do dzisiaj, zawsze budzi zainteresowanie. Nie wiem, czy takie powiązania istnieją w historii powszechnej.

Bardzo mnie pocieszył Pan Profesor tym, co powiedział na początku o metodologach. Ja jestem oczywiście historykiem dyletantem. Kupiłem tom dzieł Profesora Topolskiego, który był tu wymieniany jako guru metodologów, wzięłem do ręki, odłożyłem na półkę, skłoniłem się głęboko i więcej już tego w ręku nie miałem. Zdaniem kolegi Jeschkego z poznańskiego grona tych metodologów, ja i mnie podobni jesteśmy faktografami. W przystępnie napisanej książce Topolskiego *Świadek historii*, w którymś z kolei wydań zniknęło wiele rzeczy w porównaniu z wydańiami poprzednimi. Ja z moich publikacji nie muszę nic skreślać: fakty pozostają faktami.

Zbigniew Wójcik:

Są różne sposoby uprawiania metodologii historii XIX w. Duża grupa badaczy interesuje się historiozofią, przekładając intuicję badawczą nad metodologię pozytywistyczną (czy raczej – oświeceniową). Na ogół opracowania oparte na gruntownej analizie źródeł spotykają się z lekceważeniem jako kierunek antykwaryczny, o czym miałem możliwość przekonać się słuchając wypowiedzi – znanego naszej Komisji – dr. Stanisława Czarnieckiego, wybitnego historyka geologii.

Przyrodnik, który zainteresował się historią nauki w połowie XX w., uczył się metodologii sam. Z trudem kupowało się wówczas na aukcjach antykwarycznych książkę Marcellego Handelsmana z 1928 r. *Historyka. Zasady metodologii i teorii poznania historycznego. Podręcznik dla szkół wyższych* – wówczas tępioną. Uczył się także z dzieł Witolda Kuli *Szkice o manufakturach w Polsce w XVIII wieku* (1957) i *Problemy i metody historii gospodarczej* (1963, drugie wydanie 1983). Pierwsza z tych książek obarczona

była prymitywnym traktowaniem marksizmu historycznego, a ponadto językiem plakatów ulicznych, straszących szpiegami imperializmu. Nawet tak znakomity historyk – autor tych książek – przyjazd do Polski w XVIII w. Wilhelma Redena, wysokiego urzędnika górniczego Prus, traktował wyłącznie w kategorii wywiadu szpiegowskiego. Drugie dzieło było bardziej obiektywne.

Książki Handelsmana i Kuli są nadal studiowane przez historyków nauki. Obecnie literatury tego typu jest bardzo dużo, o czym można się przekonać m.in. analizując treść bieżącej bibliografii historycznej. Metodologia XIX w. jako kierunek badawczy cieszy się zrozumiałym zainteresowaniem również w krajach Zachodu. Tam zresztą wiele umysłów zostało opanowanych przez neomarksizm.

Myśląc o opracowaniach, którymi posługujemy się ucząc metodologii historii XIX w., przywołujemy najczęściej dostępne obecnie książki Jerzego Topolskiego. Niewątpliwie był to wybitny intelektualista. Był jednak przez lata wręcz modelowym – jak to mówiono na Zachodzie – „historykiem reżimowym”. Niechętnie czytałem jego prace, zwykle inspirowane uchwałami kolejnych plenów Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

Stefan W. Alexandrowicz:

Ja nigdy historykiem nie byłem, nie jestem i nie będę. Chciałbym jednak spojrzeć tak trochę z boku na zagadnienia metodologii czy grupy metod, którymi posługują się historycy po to, aby wiedza historyczna mogła posuwać się naprzód.

Historia opiera się na źródłach, które tak czy inaczej są przyjmowane i interpretowane. Mówiąc o źródłach, mamy zwykle na myśli źródła pisane. Posuwając się w czasie do tyłu i przechodząc od historii do prehistorii, dodajemy do źródeł pisanych źródła materialne, którymi archeologia posługuje się wyłącznie. Od pewnego czasu nauki stają się coraz bardziej interdyscyplinarne. Właśnie Polską Akademię Umiejętności można wskazać jako tę instytucję, w której ta interdyscyplinarność jest bardzo dobrze podkreślana. Świadczy o tym chociażby skład naszej Komisji.

Chciałbym w związku z tym poruszyć tu pewną sprawę. W historii obok źródeł pisanych istnieją pewne fakty, które mogą być interpretowane na podstawie innych badań, choćby badań przyrodniczych w szerokim tego słowa znaczeniu. Gdy zatem rozpatrujemy nie tylko, ile dział było w jakiejś bitwie, czy taki lub inny fakt miał miejsce, ale też zastanawiamy się, jak człowiek wtedy żył, z czego żył, czym się żywił, a zatem wchodzimy już w historię gospodarczą, to zagadnienia te związane są ściśle z historią środowiska. Powstaje pytanie, w jakim stopniu ta historia śro-

dowiska jest równolegle uprawiana z historią, którą możemy uważać za rekonstrukcję dziejów. Można sobie na przykład postawić takie pytanie: My dzisiaj sporo wiemy o tym, jak zmieniał się klimat w czasach historycznych. Możemy się zastanawiać zatem, co bardzo rzadko pojawia się w pracach historycznych, czy zmiana klimatu wpływała i jak wpływała na przebieg kampanii napoleońskich. A wiemy przecież, że jest to okres dziejów, w którym zaczyna się III faza małej epoki lodowej, gdy klimat na przykład u nas, w Polsce, zaczynał przypominać klimat dzisiejszej południowej Finlandii. Czy zatem wywarło to wpływ na przebieg zdarzeń, czy nie? A poprzedni epizod małej epoki lodowej to jest czas II wojny północnej. Znowu można zapytać, czy potop szwedzki miał związek z tym stanem klimatycznym. Czytałem i zdziwiłem się tekstowi, w którym było twierdzenie, że nie miał. A przecież z tych zmian klimatycznych wynika, że w tym czasie w Skandynawii nie rodziło zboże, a na południu za Bałtykiem był kraj, który był wówczas największym eksporterem zboża w Europie. Czy miało to wpływ na historię? Pytanie jest bardzo proste i sądzę, że odpowiedź jest równie prosta.

Czy koniec Cesarstwa Rzymskiego był też w jakiś sposób związany ze zmianami klimatycznymi? Czy ludy ze wschodu, ludy stepowe, przyszły tutaj tylko dlatego, że wydawało im się tu bardziej przyjemnie, czy może było tak, że tam klimat się na tyle zmienił, że tu szukali pożywienia?

W metodyce historii pojawiają się dokumenty, które nie zawsze są przez historyków doceniane i inkorporowane w interpretacje zdarzeń. Istnieje tu jakby uskok specjalnościowy: na co innego będzie zwracał uwagę historyk, a na co innego człowiek zajmujący się historią środowiska i związanym z nią zakresem badań przyrodniczych. A dokumenty są tu bardzo proste. My stosujemy te dokumenty, aby zrekonstruować zmiany zachodzące 5000 lat temu, 10 000 lat, czy 100 000 lat temu. Te same dokumenty odnoszą się do czasów ostatniego milenium, czy dwóch lub trzech ostatnich mileniów, kiedy działa się historia. Myślę, że nadchodzi czas, gdy metodologię, czy metodykę nauk historycznych czeka rozszerzenie interdyscyplinarne, które będzie bardzo twórcze dla obu dziedzin. W naukach przyrodniczych wszystkie metody oparte są na koncepcji aktualizmu: my wierzymy, że tak było w przeszłości na podstawie tego, że znamy te zmiany dzisiaj z własnego doświadczenia. Myślę, że teraz jest moment, gdy ten rozwój interdyscyplinarności nauk jest w metodyce niesłychanie potrzebny.

Andrzej Chwalba:

Bardzo się cieszę, że ta dyskusja tak się potoczyła i Pan Profesor pokazał w niej obszar wspólny między różnymi dyscyplinami, niezależnie od tego, na jakim wydziale są usytuowane. Bardzo cenna jest taka mo-

żliwość współpracy. Pamiętam, że kiedyś byliśmy razem z filozofami na jednym wydziale. Był on za duży, ale mam świadomość, że przez to rozdzielenie wydziałów dużo straciliśmy. Nie mamy możliwości słuchać dyskursów filozofów, psychologów i przedstawicieli innych specjalności, przez co zostaliśmy na pewno zubożeni.

Takie badania, o jakich Pan Profesor mówił, są prowadzone, na temat wpływu klimatu, środowiska. Dawniej uważało się, że bohaterem historii jest człowiek i społeczeństwo. Natomiast dziś włącza się wpływ środowiska, które współdziała w kształtowaniu dziejów; nie sposób tego wpływu oddzielić i pominąć. Dlatego wśród różnych źródeł, którymi się historycy posługują, pojawiają się źródła dotyczące przyrody jako środowiska. To w metodologii badań historycznych jest pewnym *novum*. Dwa czy trzy lata temu ukazała się na temat wpływu klimatu dobra praca doktorska w naszym Instytucie Historii. We Francji od dłuższego czasu prowadzi się takie badania. Zgadza się zatem z Profesorem Alexandrowiczem, że niezwykle ważne jest tu wzbogacanie źródeł i wzbogacanie metod.

Wdzięczny jestem Profesorowi Michalewiczowi za stwierdzenie, że historia jest nauką trudną. Zgodnie z legislacją powinien nam się należeć dodatek.

Cały szereg zagadnień musiał zostać w moim referacie uproszczony. Taki pełny okrągły tekst nie dawałby zresztą okazji do dyskusji. W każdej pracy historycznej odnajdujemy jakąś metodologię; problem tylko, jaka to jest metodologia. Gdy czytam pracę doktorską, której bohaterem jest straż pożarna w jednym z powiatów galicyjskich, i z jednego z rozdziałów dowiaduję się, ilu tam było sikawkowych, gdy wyjeżdżano na akcję, ilu ochotników, ile wody wylano, to pytam, co z tego wynika, jak to wszystko należy połączyć, tych sikawkowych itd., jako objaw funkcjonowania pewnego środowiska. Ale to zestawienie też jest objawem pewnej metodologii. Metodologowie toczą ciągle dyskusje, ale ten dyskurs metodologiczny jest zbyt słabo w pracach historycznych obecny i chodzi tu zwłaszcza o pewne nowoczesne wyzwania. Postmoderniści osiągnęli pewien sukces dlatego, że to, co głosili, było wielką prowokacją. Rzucili wyzwanie, używając mocnego języka, by spowodować dyskusję wokół pewnych problemów. To nie znaczy, że to, co oni wywołali, było zupełnie bez sensu, bo uświadomiło nam historykom, gdzie jesteśmy, w jakim kierunku powinniśmy podążać i taki dyskurs z postmodernistami należy prowadzić.

Poruszę kilka spraw szczegółowych. Co do pozycji Profesora Topolskiego – zgoda. U nas jest tak, że gdy student jest bardzo niegrzeczny, są z nim problemy wychowawcze, to za karę dostaje Topolskiego do czytania. Ale uchodził on za guru i w Poznaniu ciągle wielkie nabożeństwa na jego cześć się odbywają. Ta liczba książek, które on napisał, jest nie do pobicia – ciągle w nich przy tym coś zmieniał, od takiego powiedziałbym

brutalnego stalinizmu zmieniał w kierunku liberalizmu naukowego – to w jego pracach widać.

Niejednokrotnie pojawienie się wśród historyków przedstawiciela innych nauk powoduje ożywienie dyskusji. Ostatnio na spotkaniu w PAU z Profesorem Kłoczowskim uczestniczył były prezydent Krakowa, specjalista od akustyki, Andrzej Gołaś. Jego spostrzeżenia spowodowały, że usłpiona część widowni nagle się ożywiła, bo on widział inaczej pewne problemy niż historycy, który cały czas poruszali się w tych samych koleinach. To bardzo cenne, że takie dyskusje między przedstawicielami różnych nauk są podejmowane.

Wreszcie to, co mówił Profesor Julian Dybiec – problem różnego pojmowania historii. W gabinecie prezydenta Putina, a jeszcze wcześniej Jelcyna, nad wielkim biurkiem odziedziczonym po poprzednich gen-sekach, wisi obraz przedstawiający Polaków, którzy za naszego króla Wazy różnęli Moskwian. Rosjanie odczytują w tym przejaw imperializmu Polaków, którzy chcieli podbić Rosję. A znowu my czytamy w naszych pracach naukowych, że była to wojna obronna, że wyprawiliśmy się na Moskwę, aby nie dopuścić do rosyjskiej interwencji. Historiografia jest często zanieczyszczona wpływami zewnętrznymi. Te nasze wojny nie zawsze były tylko wojnami obronnymi. Widać to w kontaktach z naszymi sąsiadami, którzy też się z takich wpływów wyzwalają, na przykład z Litwinami czy Ukraińcami. Oni są teraz coraz bliżsi naszemu, a my ich rozumieniu historii. Po 1989 r. stało się możliwe takie zbliżenie stanowisk. Odgrywa jednak przy tym rolę też lingwistyka, bo język, którym się posługujemy, jest inny.